

JANUSZ  
MAJEWSKI

# GLACIER EXPRESS

9.15

Ile może się wydarzyć, gdy o 9.15 do Glacier Expressu  
wsiądzie dwóch prawdziwych miłośników życia?





Obudził go przykry sen. Śnił, że posuwa się ostrożnie, krok za krokiem, w zupełnej ciemności, korytarzem mieszkania, które dobrze znał, bo mieszkali tam kiedyś. Wiedział, które drzwi prowadzą do pokoju Kasi, a które do sypialni, gdzie spała Maria, słyszał jej spokojny oddech i cichy szelest firanek poruszanych słabymi podmuchami powietrza napływającymi od ogrodu przez uchylone okno. Metalowe żabki firanek pobrzękiwały na karniszu połyskującym w błękitnym cieniu nad oknem. Stanął na progu i powoli, aby zawiasy nie skrzypnęły, otworzył niedomknięte drzwi. Zobaczył krwistoczerwone cyfry elektronicznego budzika stojącego na szafce przy łóżku – wskazywały 4.11. Łóżka ani szafki nie widział, cyfry unosiły się w czarnej przestrzeni, ale były punktem orientacyjnym, który pozwalał pamięci bez trudu zrekonstruować położenie mebli w pokoju, szczególnie łóżka i miejsca, gdzie musiała być jej głowa. Zdecydował się wyjąć z kieszeni latarkę; była mała, mieściła się w dłoni. Skierował ją

w stronę podłogi i dopiero wtedy zapalił: ostry snop białego światła wydobyl z ciemności soczystą zieleń trawy, krople rosy zabłyśły na źdźbłach jak brylanty. Zaniepokojony uniósł nieco latarkę, ale tak, aby oświetlić tylko dół łóżka, aby nie zbudzić Marii. Jednak zamiast mahoniowych, wygiętych w stylu Ludwika Filipa nóg łoża zobaczył czarny blok granitu. Szybko przesunął światło latarki w górę i dostrzegł, że to nie łożo, ale grobowiec, grobowiec z czarnego kamienia. Podszedł dwa kroki bliżej, oświetlił mosiężne litery i przeczytał nazwiska pochowanych:

*Katarzyna Janowska*

1985–1999

*Maria Janowska*

1949–2001

*Karol Janowski*

19...

Ostatnie nazwisko było jego, bo to był ich grób. Przesunął promień światła na datę swojej śmierci, ale nie zdołał jej odczytać. Latarka zgasła, a on się obudził.

Leżał chwilę, uspokajając bicie serca, i dopiero gdy przekręcił głowę, żeby zobaczyć, która godzina, czerwone elektroniczne cyfry, jakby czekając na to, przeskoczyły z 4.11 na 4.12. Zapalił lampkę przy łożku, ciepłe, pomarańczowe światło delikatnie oświetliło znajome przedmioty w zasięgu jego wzroku: dwa biedermeierowskie pastele nad sekretarą, profilowe portrety w owalu, kobieta i mężczyzna, małżeństwo? Kiedy klócił się z Marią, przewieszała je tak, aby nie patrzyły

na siebie. Teraz wisały w zgodzie, bo z Marią już nigdy żadnych kłótni nie będzie.

Usiadł na łóżku i wsunął stopy w pantofle. Poszedł do łazienki, starając się nie hałasować, co nie miało sensu, był przecież sam w domu, nie zapalił światła, w ciemnościach uniósł klapę sedesu i z ulgą oddał mocz. Odganiał wspomnienie snu, starał się nie myśleć o niczym poza nadzieją, że zaraz zaśnie znowu, na te niespełna dwie godziny, które dzieliły go od pobudki. Szybko wrócił do łóżka, zgasił światło, położył się na boku, w pozycji embrionalnej, nakrył się szczelnie kołdrą i usiłował zasnąć, sen jednak nie chciał wrócić. Starał się stworzyć w mózgu obraz liścia na cienkiej gałązce i wyobrazić sobie jego małe wahnięcia na wietrze – w lewo, w prawo, w lewo i ciche bzyczenie: bzz, bzz, bzz... Ten monotony ruch już go prawie uspił, gdy coś podszeptało mu, że liść powinien zerwać się z gałązki i spadać koszącym, wahadłowym lotem w dół, i zaraz to zobaczył, ale kiedy liść dotknął ziemi, uderzył piorun i lunął gwałtowny deszcz. Wstał, żeby zamknąć okno, bębnienie kropel o blachę parapetu ucichło, za to szum ulewy stał się bardziej gęsty, jakby poważniejszy, w tonacji molowej, ogarniający panoramicznie całą przestrzeń. Karol stał przez chwilę i obserwował ciemne niebo rozświetlane raz po raz błyskawicami, po czym wrócił do łóżka, zakrył się po czubek głowy, zerknąwszy w ostatniej chwili na zegar.

– Wiosenna burza... – szepnął do siebie.

Dochodziła piąta, miał jeszcze szansę na godzinę snu i rzeczywiście natychmiast zasnął.

Budzik zaterkotał ostro. Karol otworzył oczy, przekonany, że spał może minutę, a jednak była szósta. Zerwał się z pościeli – to był jedyny sposób, aby odpędzić senność. Poszedł do kuchni, zaparzył kawę, nalał ją do kubka i wyszedł na taras. Było już jasno, chmury odpływały za horyzont, ustępowały niechętnie przed pierwszymi promieniami słońca, które zaczęło suszyć obmyte deszczem płyty tarasu. *Będę miał dobry lot*, pomyślał i poszedł pod prysznic.

Taksówka czekała przed domem, tak jak ją zamówił, o ósmej. Kierowca wyszedł i włożył walizkę do kufra.

– Na Okęcie? – zapytał.

Karol kiwnął głową i wszedł. Nie spodobał mu się ten taksówkarz, wyglądał na nieudacznika i pechowca. *Dobrze, że mamy dużo czasu*, pomyślał. Ale już wtedy poczuł niepokój, że nie zdążą. I tak się właśnie stało. Utknęli w strasliwym korku. Karol dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co się dzieje rano na ulicach, nie wstając ostatnio nigdy przed dziesiątą. Zrozumiał, że przewidział za mało czasu na podróż na lotnisko, zwłaszcza że kierowcy najwyraźniej brakowało refleksu czy choćby zwyczajnego sprytu. Wlókł się środkowym pasem i przepuszczał okazję za okazją, by wskoczyć na lewy czy prawy pas, jak to robili inni taksówkarze, jakby chcieli go upokorzyć. Ale nie to było najgorsze. W pewnej chwili kierowca odwrócił głowę i zadał Karolowi głupie pytanie:

– Może pojedziemy tym skrótem, jak pan myśli?

Karol wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie znam tego skrótu.

Kierowca popatrzył na niego z bezbrzeżnym bólem.

– Jadę – szepnął i zaczął przebijać się w lewo, a Karol był już pewny, że nie zdąży. Kiedy wszedł do hali odlotów, zegar wskazywał dziewiątą trzydzieści pięć, pięć minut po zakończeniu odprawy. Podbiegł do punktu linii Swissair, był zamknięty.

– Poszła do samolotu. Szwajcarska punktualność...

– odezwała się koleżanka z sąsiedniego boksu, siląc się na ironię. To był boks Air France, ale hostessa nie była ładna, pewnie brzydsza od tej ze Swissairu.

Usiadł w fotelu obok i postanowił poczekać, aż znowu otworzą boks. Teraz dopiero zobaczył kartkę: „Wracam o 10”. Sięgnął po telefon i już miał wybrać numer Mary, aby poradzić się, co robić, ale przecież... Pohamował się. *Po tym, co się stało... Niech się martwi! Nie zadzwonię pierwszy!* – pomyślał mściwie; i zaraz zobaczył siebie, jak idzie z tornistrem na plecach do szkoły Marii Magdaleny ulicą Nabelaka we Lwowie, a na nogach ma prążkowane rajtuzy. Te prążki dzisiaj nie są ułożone prosto, poprękręcał je umyślnie, na złość Tekli. *Ojciec ma rację, nazywając ją małąką, czarnym podniebieniem, jest niedobra, zmusza mnie do zjadania grysiku i szoruje boleśnie plecy szczotką ryżową, ale jest piękna, uwielbiam patrzeć, jak kotyszą się jej piersi, kiedy pierze na tarze w balii, i ja ją przecież ko...*

Karol rozejrzał się po ogromnej hali i dostrzegł kiosk z gazetami. Nie miał nic lepszego do roboty, więc zdecydował



się na dość daleki spacer po gazetę, z niepokojem czekając na ukłucie bólu w nodze, ale to nie nastąpiło; widocznie adrenalina wciąż działała. Najpierw kupił tylko jedną gazetę, tę, którą wciąż jeszcze czytał codziennie, ale potem pomyślał, że Max chętnie przejrzy inne, zwłaszcza tygodniki, więc zawrócił i wybrał z półek cały ich plik. *Włożę je do walizki*, pomyślał, bo nie znosił noszenia czegoś w rękach, i od razu wyobraził sobie, że gazety wypadają mu z ręki, co zmusza go do pochylenia się, może nawet do przykucnięcia, a potem on rozgląda się bezradnie za czymś czy za kimś, kto pomoże mu podnieść się z tej niewygodnej pozycji. A przecież kiedyś miał najlepszy start w ich sztafecie, na pierwszej zmianie 4 x 100 metrów. Dałby wiele, żeby teraz, pozbierawszy rozsypane gazety, wystrzelić jak rakieta i przebiec tę blisko setkę do boksu Swissair w czasie niewiele ponad dziesięć sekund! *A walizka, zostawiłbyś walizkę, kretynie, i jeszcze by ją ci ukradli!* – skarcił się w myślach. *Nie, walizka by została na środku hali, potem usłyszałby komunikat nawołujący jej właściciela, potem ochroniarze rozstawiliby dookoła niej kordon, zaczęliby usuwać pasażerów poza halę, potem wjechałby pędem na sygnale konwój kilku samochodów policyjnych, z jednego wyszedłby saper przebrany w strój ochronny niczym kosmonauta i zacząłby ostrożnie zbliżać się do jego szarej walizki marki Samsonite, którą kupił przed laty w Nowym Jorku. A gdyby ją przeszukali, bo przecież musieliby ją przeszukać...*

– W czym mogę panu pomóc? – wyrwał go z tego fantazjowania głos hostessy w boksie szwajcarskich linii lotni-



czych, do którego wrócił, ciągnąc walizkę z głupio hałasującymi kółkami.

– Spóźniłem się na dziesiątą, czy może mnie pani przebukować na następny? – Przyjrzał się hostessie, też nie była ładna.

– Przebukować nie mogę, ale może pan kupić nowy bilet, a potem starać się o częściowy zwrot za ten niewykorzystany. Ma pan dwie opcje: lecieć za godzinę przez Berlin albo – chyba lepiej – poczekać do drugiej piętnaście na nasz następny lot prosto do Zurychu.

Od razu wykluczył starania o zwrot, zadowolony, że ma połączenie i zdąży na spotkanie. Ale dlaczego wykluczył zwrot? Czyżby miał nie wrócić? Otrząsnął się z tej myśli. Podał hostessie kartę, wystukał PIN, odebrał bilet, włożył go do wewnętrznej kieszeni marynarki, mruknął „dziękuję”, skinął głową i poszedł w stronę bramek odprawy. *Zachowuję się tak, jakby mnie szkolono. Pierdolony agent! Naczytałeś się Forsytha i Ludluma, kutasie! A rezygnuję z odbioru tych zasranych czterystu złotych minus podatek, bo mam je głęboko w dupie! Co, może mam tu wracać dla tych głupich czterystu złotych?!* – nieomal krzyknął zirytowany sytuacją. Nie, to nie spóźnienie i strata tak go zdenerwowały, zdenerwowało go przypomnienie sobie o własnym lenistwie, wygodnictwie i roztargnieniu, kiedy w takich wypadkach rezygnował z różnych nadpłat, zwrotów i reklamacji, kiedy płacił abonament za nieużywany telefon lub telewizor, zamiast napisać zrzeczenie się z usług. Rozrzutnie i bezmyślnie wydawał pieniądze, bo je miał, naresz-

cie pod koniec życia je miał i raczej mało prawdopodobne, żeby zdołał je wydać przed śmiercią.

Oddał walizkę i postanowił przejść przez kontrolę, aby spędzić parę godzin po drugiej stronie, w zacisznej VIP Longue, do której miał wciąż jeszcze ważną kartę. Położył na taśmie neseser z laptopem, zdjął marynarkę i pasek, a widząc, że młodzieniec przed nim zzuwa buty, pochylił się z trudem, ale strażnik dał mu gestem znak, że nie musi tego robić. *Wyglądam na nieszkodliwego pierdołę. I bardzo dobrze, i o to chodzi!* Zresztą nawet gdyby zdjął buty, mogli by sobie je prześwietlać! Nikt nie wykryje w podeszwie ostrza z kevlaru, które wytoczył mu jego dawny laborant na politechnice. *Jakiego znowu ostrza?! Przecież to był tylko pomysł!* – pokręcił z dezaprobatą głową, znowu miesza mu się realne z wymyślonym. *Stary dureń!*

Przeszedł bez przeszkód kontrolę, zamarudził trochę przy wciąganiu paska w spodnie, dziwiąc się, że nikt jeszcze nie wpadł na patent odpinanych sprzączek, co byłoby dziecinnie proste, i w końcu dotarł do tej VIP-owskiej poczekalni, sięgnął po ogromną bańkę kieliszka, nalał sobie odrobinę koniaku i zasiadł w wygodnym fotelu. Wprawiał kieliszek w ruch obrotowy, ogrzewał go dłońią i wąchał aromat trunku, a potem brał na język jedną małą kroplę i czekał, aż wsiąknie, rozpuści się w ustach. Z roztargnieniem przeglądał tygodnik przymocowany do staroświeckiego kija, co pewnie miało związek z wystrojem poczekalni stylizowanej na brytyjski klub czy wiedeńską kawiarnię. Przypomniał sobie fryzjera

na Floriańskiej w Krakowie, gdzie chodził się strzyc w czasie studiów. Tam też były jeszcze takie kije, do których pan Alfred, właściciel zakładu, z dumą przyczepiał co rano wszystkie krakowskie dzienniki: „Gazetę Krakowską”, „Dziennik Polski” i „Echo Krakowa”, a do 1969 roku, kiedy większość jego żydowskich klientów wyjechała, także „Folks Sztyme”.

– Widzi pan, jak trzymałem przedtem to pismo, czasem przychodził nowy klient, przyglądał mi się i pytał: „*Am hu?*”, a ja wiedziałem, że on pyta, czy jestem Żydem, to mu odpowiadałem: „*Najn*”, to on myślał, że ja kłamię, i kiwał głową z aprobatą, że mnie rozumie, że tak trzeba. Teraz nikt mnie o to nie pyta, to zlikwidowałem ten tytuł. Kiedyś przyszedł jeden gość, ktoś mi powiedział, że to naczelnik z UB, i zapytał: „Już nie trzyma pan tej żydowskiej gazetki, co? Żydki wyjechały, co nie?”. Zaśmiał się nieprzyjemnie, a najlepsze, wie pan, że on sam jest Żydem... Pan profesor Steinbaum zawsze mi mówił: „Panie Alfredzie, najwięksi antysemita to są Żydzi, może pan mi wierzyć, Żyd to panu mówi...”.

Karol przez chwilę przyglądał się panu Alfredowi, który zastygł w bezruchu, odtworzony w pamięci, a potem, nadal pozostając w przeszłości, przeniósł wzrok na inny ulubiony przedmiot, relikw austro-węgierskich c.k. czasów: niewielką srebrną ramkę na wytwornie wygiętej nóżce, w którą wprawiony był kolorowy oleodruk. Przedstawiał ukwiecone okno w tyrolskim stylu, przez które wychylała się dorodna dziewczyna w białej bufiastej bluzce z dużym dekoltem, w którym kipiały obfite piersi podtrzymywane sznurowanym serdakiem. Przy-

pomniała mu się znów Tekla, Rusinka, małanka, jego ukochana niania we Lwowie. Uśmiech tyrolskiej buchty nie był uśmiechem Mony Lizy, za to obiecywał zdecydowanie weselsze przyjemności. Istotnie, kiedy jakiś birbant wracający po przelampartowanej nocy wstąpił do otwieranego już o szóstej rano zakładu ojca pana Alfreda, pana Hieronima, aby się ogolić, pstrykał z szelmowskim uśmiechem w ów obrazek, aby go na moment obrócić na osi i zobaczyć odwrotną stronę: widok na okno od strony pokoju i wychylającą się przez parapet dziewczę, tu oferującą sedno swego wdzięku, piękną, wypiętą na widza spod podciągniętej sukni, gołą różową pupę. Rozanielony birbant wymieniał z panem Hieronimem porozumiewawcze spojrzenie, które trwało tylko мгновение, przerwane przytomnie przez doświadczonego balwierza położeniem na twarzy klienta gorącego ręcznika. Zbytne spoufalenie się byłoby nad wyraz niestosowne i zaszkodziłoby reputacji firmy.

Karol patrzył na stronę pisma, nawet czytał bezmyślnie jakiś angielski tekst o eutanazji, ale myślami był wciąż tam, w Krakowie, gdzie studiował na politechnice. Nagle wyczuł, że ktoś go obserwuje. Nie podnosił wzroku, dalej udawał, że czyta, i zastanawiał się, czy powinien czuć się zagrożony. *Czyżby już mnie namierzili? Nie, to niemożliwe. Jak? Kiedy? Wszystko liczyłem na starym komputerze niezalogowanym w żadnej sieci, niemającym nawet łącza internetowego, a wychodząc z domu, wszystkie papiery schowałem w nodze stołu wydrążonej przez ojca jeszcze w czasie okupacji.* Zobaczył wy-

rażnie tę dziurę w stołowej nodze, prawie wyczuł na palcach pył drewna pozostały po wierceniu, że niemal uwierzył, że to prawda.

Otrząsnął się z tych majaczeń, zdecydował się podnieść wzrok i dyskretnie się rozejrzeć. Ledwo skręcił głowę w prawo, a już napotkał wzrok jakiegoś typu o ciemnej cerze i gorejących, nienaturalnie wielkich oczach. Wyglądał na Azjatę, chyba na Hindusa. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, domniemany Hindus uśmiechnął się lekko i uklonił. Karol odkłonił się machinalnie i pomyślał, że pewnie zna tego człowieka. Zaraz zaczął w panice przeszukiwać kartotekę pamięci w swoim mózgu, usiłując umiejscowić gdzieś nieznanego, ale z nikim ani z niczym mu się nie kojarzył. Nadal usiłował udawać, że tkwi pograżony w lekturze, do której wrócił natychmiast po odклонieniu się, ale cały czas czuł na sobie wzrok nieznanego. Podniósł głowę, starając się, żeby wypadło to naturalnie, i sięgnął po kieliszek. Zmuszając się do powolnych, spokojnych ruchów, upił mały łyk. Niby przypadkowo spojrzął na Hindusa, a ten – jakby tylko na to czekał – uśmiechnął się szeroko. Karol odwzajemnił uśmiech, a nawet uniósł lekko kieliszek w geście pozdrowienia, co tamten uznał za zachętę: podniósł się, podszedł i zwrócił się do Karola:

– *I'm not sure if you remember me, professor, sir. My name is Kanpur Palhidi*<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> (ang.) Nie jestem pewien, czy mnie pan pamięta, panie profesorze. Nazywam się Kanpur Palhidi.

– *Yes, of course...*<sup>2</sup> – odpowiedział, niepotrzebnie kłamiąc, i nadal gorączkowo usiłował sobie przypomnieć, gdzie się spotkali. A na pewno musieli się spotkać, skoro tamten użył tytułu profesor.

– Od tamtego czasu już trochę mówię po polsku. Byłem na odczycie pana profesora w instytucie, a potem podszedłem i... *I introduced myself*.. Przedstawiłem się... – W obu językach mówił z charakterystycznym, miękkim, jakby dziecięcym akcentem.

– Tak, teraz pamiętam – potwierdził Karol, chociaż wciąż szukał w opornej pamięci choćby najmniejszego śladu wspomnianego wydarzenia, ale nie mógł sobie przypomnieć nawet żadnego odczytu, nie kojarzył, w jakim to by mogło być instytucie i kiedy, gdzie – w Krakowie, w Warszawie, a może w Bombaju? Ale czy był kiedykolwiek w Bombaju?

– Wtedy rozmawialiśmy bardzo krótko – przypomniał Kanpur Palhidi, jakby wyczuł, że powinien pomóc – i zahałem się, czy to panu powiedzieć, profesorze, ale teraz upewniłem się i w związku z tym postanowiłem podejść do pana. Pan ma niezwykle silną aurę.

– Co mam? – zaniepokoił się Karol.

– Aurę. Jest pan otoczony aureolą wyładowań elektrycznych, nadzwyczaj wyrazistą. Każdy ma aurę, najczęściej ledwie widoczną, a u pana jest ona wręcz jaskrawa, silniejsza od tego neonu. – Wskazał na napis „EXIT”. – Zwłaszcza nad potylicą.

---

<sup>2</sup> (ang.) Tak, oczywiście...

Karol odruchowo przejechał dłonią nad głową, czuł, że uśmiecha się głupio, ale w gruncie rzeczy był przestraszony. Kanpur Pahlidi uśmiechnął się wyrozumiale.

– Proszę się nie obawiać, to niczym nie grozi, raczej tylko świadczy... To raczej ja mógłbym się niepokoić, że to widzę, bo nie pojmuję tego mojego daru, a mam go od zawsze, od dzieciństwa.

– Ach, tak? – Karol zmieszał się jeszcze bardziej, ale opanował się i zapytał: – Pan jest z Indii, prawda?

– Lecę do Delhi odwiedzić matkę, a na stałe mieszkam w Krakowie. Mam polską żonę i córeczkę... – Wyjął z kieszeni iPhone, odszukał zdjęcie i pokazał je Karolowi: ładna blondynka z przytuloną do niej smagłą dziewczynką o oczach kota bengalskiego. *Kot, tygrys, bengalskie ognie, puszczanie bengali dla zabawienia gości z Polski w siostrzanym miasteczku we Francji, o czym opowiadał pewien weterynarz...* – przemknęło mu przez głowę, ale opanował się i powiedział z uśmiechem:

– Ładne...

– A pan profesor dokąd leci?

– Do Zurychu.

– Jakaś konferencja? Biznes?

– Nie. Jadę spotkać się z przyjacielem...

W głośnikach odezwał się łagodnie modulowany głos:

– Odlot samolotu KLM do New Delhi, pasażerów...

– O, to mój. – Hindus wstał. – Miło mi było pana spotkać, profesorze. Jak będzie pan kiedyś w Krakowie, zapraszam na prawdziwe curry. Dobrze gotuję. Ma pan moją wizytówkę?



– Oczywiście – powiedział z przekonaniem Karol. W rzeczywistości wizytówkę, jeśli ją dostał, zgubił lub wyrzucił, curry nie cierpiał, a do Krakowa się nie wybierał. Nigdzie się już nie wybierał, w najbliższym i najdalszym czasie, ale co to obchodzi pana Kanpura Palhidiego, niech leci z bogiem, ze swoim hinduskim bogiem siedzącym w kucki na dywaniku, na podłodze samolotu KLM, z tajemniczym uśmiechem na pucołowatej twarzy!

– Powiedział pan, że ta aureola o czymś świadczy. O czym? – zapytał Karol, podając mu rękę.

– O, to wymaga dłuższego wyjaśnienia, kiedy się spotkamy to... Powiem tylko tyle: niech pan zapisuje swoje sny i stara się je zrozumieć. Bo pan często śni, prawda?

Hindus wyszedł pospiesznie, Karol odetchnął i ruszył po drugi koniak. Zerknął na zegarek, wciąż miał jeszcze dwie godziny czekania. Usiadł w fotelu i wrócił do lektury, ale nie mógł się skupić. Hindus powiedział, że on często śni; skąd wiedział? A zapisywanie? Kiedyś to robił, a teraz już nie. Uważał to za bzdurę czy bał się? Nie chciał zapamiętywać ani przyjemności oferowanej mu przez sen, ani przykrości. Wciąż wracało wspomnienie snu z ubiegłej nocy i jego ponury finał. Odpędzał to od siebie jak uprzykrzoną muchę, ale bezskutecznie. Teraz przypomniał mu się jeszcze początek tego filmu, jednego z tych, które uporczywie wyświetlał mu noc w noc projektor w jego mózgu, filmów-snow, które go dręczyły, wycieńczały, po których wstawał rozbity, chory, i był przygnębiony przez cały dzień.

Tym razem sen zaczynał się szerokim ujęciem z góry: obszerny, brukowany, ale miejscami błotnisty plac w jakimś małym miasteczku, jakby na Ukrainie, może w czasie wojny. Zobaczył kolumnę furmanek ciągniętych przez małe kudłate konie w charakterystycznych hołoblach, mozolnie wspinających się na wzniesienie placu. Pomyślał: *Podjeżdżają, aby nas ewakuować, bo my przecież czekamy w pokojach zajazdu i pijemy herbatę z mlekiem. Maria ma wielki koszyk świeżych drożdżowych bułek, daje mi jedną. Chcę dotknąć jej dłoni, bo mam nadzieję, że to jest gest pojednawczy, ale ona unika dotknięcia, chociaż uśmiecha się pobłaźliwie, może wybacząco. Jem tę bułkę i zmiatom okruszki z prześcieradła, bo leżę już w czystej, chłodnej pościeli na żelaznym, jakby więziennym, ale szerokim łóżku, które stoi na środku dużej, białej klasztornej sali. Chcę zasnąć, wpatrując się w surowe sklepienie, ale mniszka pochyla się nade mną i coś mówi, czego nie słyszę. Proszę ją, aby powtórzyła, i głaszczę ją po policzku. Jest ładna, ale ma krosty na twarzy. Uśmiecha się uspokajająco, zasypiam. Budzę się i wstaję. Czuję chłód kamiennej posadzki, jestem nagi i mam erekcję. Wchodzi mniszka i przeorysza. Odwracam się i zasłaniam prześcieradłem. Pokazuję, że nie mogę otworzyć jednego oka, tak mi się skleiły powieki. Może płakałem przez sen?*

Musiał się chyba zdrzemnąć w fotelu, bo ze zdziwieniem zobaczył, że minęła już pierwsza. Postanowił wyjść i pospacerować trochę po holu, bo poczuł, że stopy mu zdrętwiały i zaczęły boleć. Wszedł do sklepu wolnoćlowego i apatycz-

nym spojrzeniem omiótł półki kosmetyków. Podeszła młoda ekspedientka i zapytała:

– Może panu pomóc?

– Myśli pani, że to jest możliwe? – Obrzucił ją spojrzeniem.

Zarumieniła się lekko, biorąc to za zaczepkę, mimo to odpowiedziała spokojnie:

– Mam nadzieję, że potrafię panu doradzić. Chciałby pan coś dla siebie czy na prezent? Tam są damskie zapachy...

– Wskazała półki pod ścianą.

– W tym problem, że niczego nie szukam... zresztą od niedawna... – O mały włos nie zaczął się jej zwierzać, ale szybko się otrząsnął i powiedział: – A właściwie... może bym zmienił zapach? Może coś nowego?

Dziewczyna od razu przejęła inicjatywę.

– A jakich perfum pan używa? – Pociągnęła nosem.  
– Chyba Code Armaniego?

– Rzeczywiście, brawo! – *Ktoś już kiedyś tak powiedział?! Mara w Wiedniu!* – przypomniał sobie i uśmiechnął się do tego wspomnienia.

Wzruszyła ramionami, może myślała, że śmieje się do niej.

– To nasz elementarz. W takim razie zaproponowałabym nowość, ale też w duchu Code, bardzo podoba się paniom...

Chciał jej powiedzieć, że to dla niego już nieistotne, ale zrezygnował i cierpliwie wysłuchał jej objaśnień, powąchał tekturkę, którą spryskała perfumami, a nawet wyciągnął

nadgarstek i wtarł sobie zapach w skórę. Grzecznie potakiwał, mimo że wcale nie poczuł wyjątkowości nowej wody, jedynie butelka mu się podobała, a o to zawsze dbał, i aby szybko zakończyć sprawę, kiwnął głową, że kupuje. Poprowadziła go do kasy, stukając szpilkami, i w rytmie tych stuknięć zabrzmiało echo bliskiej, do bólu bliskiej mu melodii, ale je zignorował, odpędził, niemalże potrząsnął głową, jakby strzepywał zimną wodę, której kubeł wylał na siebie w myślach. Mimo to odruchowo, ale uprzejmie podziękował dziewczynie i wynagrodził jej starania tym swoim uważnym spojrzeniem, o którym wiedział, że wciąż jeszcze funkcjonuje, i to dopiero go rozjuszyło: *Stary, obleśny cap! Śmierdzący kozioł! Wylej sobie na tęb ten cały flakon, i tak będziesz cuchnął!* – wrzeszczał na siebie w duchu, odchodząc szybkim nagle krokiem w stronę Gate 14. Gdyby się obejrzał, zobaczyłby może w oczach ekspedientki jakiś cień żalu, ale on się nie oglądał, zajęty awanturą z sobą samym, podczas której bezlitośnie i brutalnie karciał siebie za to, że wciąż nie pozbył się starych nawyków budzenia zainteresowania, rozpoczynania dwuznacznych rozmów, bezwstydnego uwodzenia kogo się dało, na lewo i prawo, że wciąż miał ten swój, jak to nazywał Stefan, jego kumpel: „cholerny ciąg na bramkę”.

# JANUSZ MAJEWSKI

Reżyser, pisarz ceniony przez czytelników i gremia jurorskie tym razem zabiera nas w podróż. PODRÓŻ ŻYCIA. Nie dla oszałamiających widoków za oknami ekskluzywnego pociągu Glacier Express. Malownicza Szwajcaria jest zaledwie tłem, pretekstem do spotkania przyjaciół. Karola, w którego mistrzowskich ripostach rozpoznać można samego Autora (elementy autobiograficzne świetnie łączą się z fikcją literacką), i Maxa, który po wydarzeniach '68 roku wyemigrował z Polski, ale nigdy nie przestał żyć jej sprawami.



To podróż do wspomnień z dzieciństwa, do zaczarowanego Lwowa i Kresów – utraconej Atlantydy. Do lat młodości spędzonych w Krakowie. Do pierwszych (drugich, trzecich...) mitości, do absurdów życia (nie tylko w PRL-u).

Bo to właśnie ŻYCIE jest głównym bohaterem książki. Życie, które przyjdzie pożegnać.

Z ŻALEM czy ULGĄ? - zastanawiają się dwaj STARSI PANOWIE, przypominający chwilami bohaterów słynnego kabaretu, to znów filozofów z Nalewek; greckich stoików, to lwowskie baciary.

Rozmowa o życiu i już? Nie!

**Zbrodnia?! Oczywiście, nawet dwie! Mitość? Też niejedna. Namiętności – i to nie tylko we wspomnieniach.**

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9

788364700361

cena 39,90 zł

PATRONAT  
MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIIII